Wygnany
który przetrwał

Aleksandra R. K. Stupera

Wygnany
który przetrwał

Tom 4

Szmaragdowe Pióro

Katowice 2026

Copyright © Aleksandra R.K. Stupera, 2026
Copyright © Wydawnictwo Szmaragdowe Pióro, 2026
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Kinga Rak | Twarda Oprawa
Korekta: Andrea Smolarz | pracownia edytorska Żółć
Skład i łamanie: Iza Pisarek-Godawa | Skład z wyrazem
Projekt ilustracji i elementów graficznych:
Karolina Żuk-Wieczorkiewicz
Projekt i przygotowanie okładki do druku:
Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

ISBN: 978-83-976150-4-5

Szmaragdowe Pióro

kontakt@szmaragdowepioro.pl
szmaragdowepioro.pl
facebook.com/SzmaragdowePioro
instagram.com/aleksandrarkstupera

szmaragdowepioro.pl/listy-od-kronikarza

Druk i oprawa: Sowa sp. z o.o.

Spis treści

Rozdział I	11
Rozdział II	23
Rozdział III	39
Rozdział IV	57
Rozdział V	77
Rozdział VI	95
Rozdział VII	109
Rozdział VIII	131
Rozdział IX	143
Rozdział X	155
Rozdział XI	177
Rozdział XII	191
Rozdział XIII	213
Rozdział XIV	225
Rozdział XV	243
Rozdział XVI	255
Rozdział XVII	277
Rozdział XVIII	299
Rozdział XIX	325
Rozdział XX	357

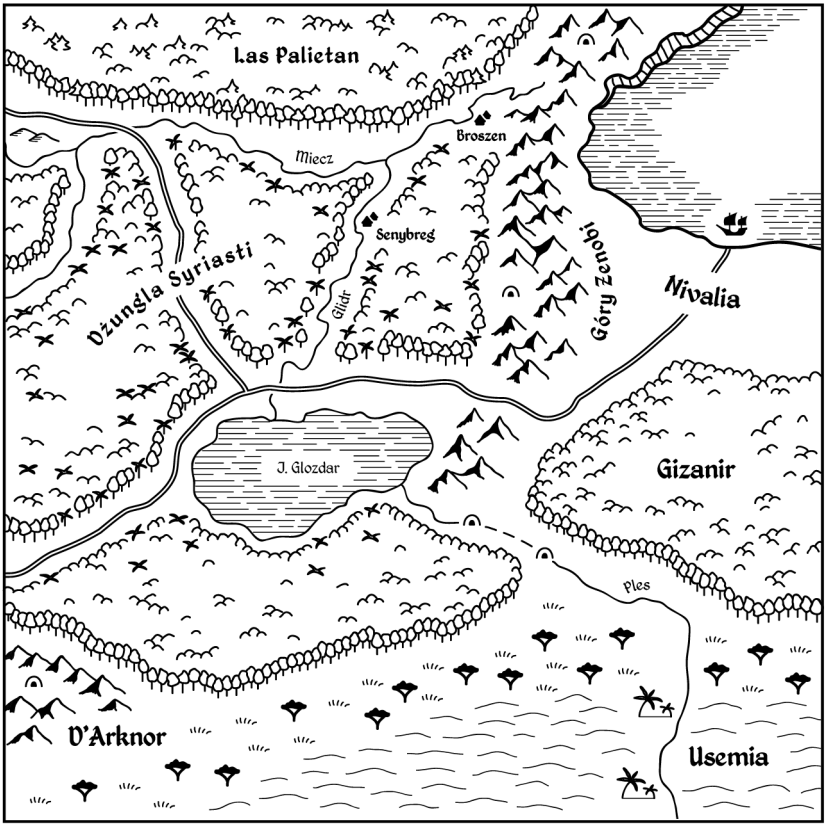
Rozdział XXI 375
Rozdział XXII 391
Rozdział XXIII 413
Rozdział XXIV 423
Rozdział XXV 435
Rozdział XXVI 459
Rozdział XXVII 479
Rozdział XXVIII 493
Rozdział XXIX 517
Rozdział XXX 531
Rozdział XXXI 547

Spis ras i ludów 571
Spis postaci 577
Spis stworzeń 583
Spis miejsc 587
Wierzenia 591
Słowniczek 593

Podziękowania 599

Mamie i Tacie
za zaszczepienie we mnie zamiłowania do książek i wędrówek
oraz wspieranie, gdy podejmowałam się kolejnych wyzwań.

Wschód Kontynentu



Wezwę go, a on odpowie na Moje wołanie
i podejmie się misji, jaką mu powierzę.
Z Moją pomocą wypleni chorobę,
która opanowała te ziemie.
Rasom i narodom przyniesie ratunek lub zgubę –
zależnie od ich decyzji.
Jego walka będzie trudna,
a zwycięstwo okupi wielką stratą.

Rozdział I

Nepokoke si, ze wcasz si ne vubuzaki – odezwał się delikatny, kobiecy głos.

– *Pukajnie, Dawara. Zake, nicz vonej ne bes* – odpowiedział jej głęboki, męski głos. Brzmiała w nim troska i szczere współczucie.

– *I tak si szmucake*.

– *To ruczana s gor. Rubike, cso muke. Naleszub i kudali vubecakacha pusechuk vudwedinych szul*.

– *Dlugo vonech ne meke*.

Miałam wrażenie, że cicha rozmowa jest częścią mojego snu. Snu o tym, jak udałam się do El'darum z bratem i mrawem Losinisem. Jak zamieszkałam wśród elfów. Jak odkryłam, że mój brat nie jest moim bratem, ale Szaferim, Księciem Zalianii, a mój prawdziwy brat Serasz walczy po stronie Onyksa. Jak razem z Losinisem i elfem Rametim wyruszyłam w drogę jako książęcy posłaniec z zadaniem odnalezienia legendarnych ludów.

Wpierw udaliśmy się do Doliny Miecza, a w drodze natknęliśmy się na Dorkneszczyków. Na początku walczyliśmy

ramię w ramię przeciwko żołnierzom i poplecznikom Onyksa. Podczas jednej z tych przygód Rameti – przyjaciel Księcia i wnuk króla Soratesa – został poważnie ranny. Choć z pomocą innych uzdrowicieli robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, nie zdołaliśmy całkowicie wyleczyć jego obrażeń. Do tego potrzebowaliśmy pomocy kogoś, kto znał się na truciznach. Dlatego elf postanowił udać się do Gór Zenobi na grzbiecie jednego z mrawów, których wyrwaliśmy spod władzy sarian. Ja w tym czasie udałam się z Losinisem do fatich, by prosić ich o wsparcie w walce z Onyksem. Niestety Dorknesczycy też zmierzali w tym kierunku, ale w zupełnie innym celu. Chcieli zabić znikaczy i zabrać ich futra, czemu udało nam się ostatecznie zapobiec i dzięki temu zyskać przychylność fatich oraz obietnicę, że dołączą do bitwy.

Dalsza droga prowadziła przez Las Palietan i curyjskie wioski. W jednej z nich znaleźliśmy Rametiego, który nie zdołał dotrzeć do góry. Mraw, który go niósł, zaczął przechodzić bunt. Na szczęście elf na czas dotarł do osady, w której zajął się nim uzdrowiciel. I choć też nie opanował w pełni skutków działania trucizny, przynajmniej nieco je spowolnił. Dzięki temu wnuk Soratesa miał szansę przeżyć. Nie zwlekając, ruszyliśmy w kierunku Zenobii, gdzie mieszkały elfy górskie. W nich pokładaliśmy ostatnią nadzieję na ocalenie mojego towarzysza i przyjaciela. Oczywiście, nie wszystko poszło dobrze. Losinis się zbuntował, prawie nas zabił, ale coś nas ocaliło. Jakieś małe stworzenie. Małe, sprytne i na tyle odważne, by rzucić się samotnie na o wiele większego od siebie mrawa. Cień. Osierocone kocię lisniliego, które widziało w nas swoje stado.

To ono ocaliło nasze życia. Ale czy samo też przetrwało? Miałam taką nadzieję.

Dalsze wydarzenia pamiętałam jak przez mgłę. Chyba stoczyliśmy z kimś walkę, a potem podjęliśmy ostatni marsz w kierunku gór. Natrafiliśmy na jakąś elfkę, która zabrała Rametiego do jaskiń Zenobii. Nawet sama ją przekonałam, by zaopiekowała się wnukiem Soratesa. Jedynie wciąż mnie dziwiło, że mnie oszczędziła. A przecież należała do górskich. Tych, którzy chętnie pozbyliby się wszystkich ludzi.

W każdym razie potem miałam wrócić do curysów. Coś jednak mi w tym przeszkodziło. Wysiliłam pamięć. Walczyłam z górskim i omal nie zginęłam, to pamiętam. Ktoś mi pomógł.

Ledwo powstrzymałam się od zerwania na równe nogi. Odrzuceni. To musieli być oni. Zjawili się, gdy najbardziej potrzebowałam wparcia. Ocalili mnie i gdzieś zabrali. Domyślałam się, że do swojej wioski. Znalazłam się w Dżungli Syriasti. Tak jak chciałam.

– *Ne besm w stanu niczego purspek* – rzekł mężczyzna, jakby znalazł się przed przeszkodą, której nie był w stanie pokonać.

– *Bade vucik si gdas*? – spytała kobieta. I to chyba ona przesunęła kosmyk na moim czole.

– *Ne turcakimy nazey*.

– *Spanal*! – zawołał ktoś z zewnątrz.

– *Wulaka me* – rzekł głęboki głos.

– *Bade zustak pri vonej. Iszki* – odparła z serdecznością kobieta.

Usłyszałam oddalające się kroki, a potem szelest tkaniny, gdy odrzucona poruszyła się obok mnie. Czułam, jak miękki siennik zapadał się w miejscu, w którym siedziała.

Poprawiła cienki koc, którym byłam przykryta, po czym położyła swoją dłoń na mojej.

– Nie wiem, czy słyszysz – przeszła bez problemu na plenkuski. Mówiła płynnie, ale wciąż wychwytywałam obcy akcent. – Czy w ogóle już odzyskałaś świadomość. Ale wiedz, że jesteś bezpieczna w naszej wiosce. Elfy z gór nie mają tutaj wstępu. Nie masz czego się obawiać.

Wahałam się, czy już dać znać, że się obudziłam, czy lepiej jeszcze nie. Nigdy nie słyszałam, by odrzuceni byli agresywni i kogoś skrzywdzili. Ale podróż nauczyła mnie, że czasami lepiej pozostawić na początek na pewną dozę nieufności. Na wszelki wypadek. Zwłaszcza że tego ludu nikt nie widział od wieków. Wiele się mogło u nich zmienić. Jednak szczerość w głosie kobiety i wspomnienia o tym, jak pomogli mi podczas walki z górskim, dodawały mi wiary, że wciąż są tymi, na których zawsze można liczyć.

Ścisnęła mnie za rękę i westchnęła.

– Spanal mówił, że niedługo powinnaś się obudzić. Nasi poszukiwacze sprowadzili cię dosyć szybko do wioski, ale trucizna zdołała cię mocno osłabić. Działaliśmy tak prędko, jak mogliśmy, ale jesteśmy tylko ludźmi. – Puściła mnie i znów odgarnęła mi włosy z czoła. Tak po matczynemu. – Mam nadzieję, że się ockniesz jeszcze dziś. Musisz, jeśli chcesz przeżyć. Potrzebujesz jedzenia i wody.

Ledwo to powiedziała, mój żołądek zaburczał na potwierdzenie jej słów, a w gardle poczułam nieprzyjemną suchość. Musiał minąć przynajmniej dzień, odkąd ostatni raz brałam cokolwiek do ust.

– A może ucieszy cię wieść, że znalazłaś się w Broszen, w wiosce na północ od Domaney. Wiosce odrzuconych.

Wiem, że dla twojego ludu jesteśmy już zaledwie legendą. – Wyczułam jej uśmiech.

– Już nie. – Próbowałam wyszeptać, ale z wysuszonego gardła wydobył się dźwięk przypominający raczej skrzek niż ludzką mowę.

– Obudziłaś się! – wykrzyknęła zaskoczona.

Nie zdążyłam nawet otworzyć oczu, gdy już pomagała mi usiąść. Podetknęła mi pod usta naczynie z wodą. Choć najchętniej wypiłabym całość, zmusiłam się, by wpierw zwilżyć usta, a dopiero potem wziąć pierwszy, niewielki łyk. Nie chciałam, by żołądek się zbuntował. Zwłaszcza że nie wiedziałam, jak długo byłam nieprzytomna.

W końcu rozwarłam powieki, ale zaraz je przymknęłam oślepiona światłem. Czułam się mocno osłabiona, jak po ciężkiej chorobie. Po dłuższej chwili zdołałam się w końcu rozejrzeć dookoła. Znalazłam się w dosyć zwyczajnej chacie. W przeciwieństwie do tych w Klodri ta była zbudowana z ociosanych desek zbitych ze sobą. Wszelkie szpary zostały dodatkowo wypełnione materiałem, który przypominał zaschnięte błoto. Za dach służyły ogromne, zielone liście ułożone na krokwiach w taki sposób, by chronić przed słońcem i deszczem. W pokoju nie było za wiele mebli. Zaledwie proste łóżko z cienkim siennikiem, przez który wyraźnie wyczuwałam drewnianą konstrukcję, a w jego nogach skrzynia o nieznanej mi zawartości. Obok stało niczym niewyróżniające się krzesło. Spostrzegłam jeszcze, że koc był pleciony z jasnobrązowych włókien, jakich nigdy wcześniej nie widziałam.

Wtedy dopiero przeniosłam spojrzenie na kobietę. Wyglądała o wiele zwyczajniej, niż się spodziewałam.

Opowieści mówiły, że odrzuceni to lud pełen deformacji i ubytków w ciele. A obok mnie siedziała – przynajmniej na pierwszy rzut oka – w pełni zdrowa osoba o smagłej, lekko błyszczącej cerze. Kasztanowe włosy spływały falami na plecy, a krótka grzywka przysłaniała niskie czoło. Z młodej, pozbawionej zmarszczek twarzy spoglądały na mnie z ufnością i radością jasnobrązowe oczy. Między nimi zaczynał się drobny nos, a tuż pod nim uśmiechały niezbyt szerokie usta. Szyję oplatał wieniec z fioletowych kwiatów o okrągłych płatkach i podłużnych, ciemnozielonych liściach. Tkana, błękitna koszula z krótkim rękawem kończyła się dwa cale nad pępkiem. A spódnica wykonana z podobnego materiału zdawała się sięgać ziemi.

– Napij się jeszcze. – Na jej nadgarstkach zabrzęczały kolorowe bransolety, gdy podawała mi gliniany kubek.

Wzięłam od niej naczynie i upiłam kolejny łyk. Chłodna woda spływała przez suche gardło i przyjemnie je zwilżała.

– Dziękuję – odpowiedziałam już mniej zachrypniętym głosem.

Powoli piłam dalej, a kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Jak się nazywasz? – spytała po dłuższej chwili

– Ariadna.

Podobnie jak w wiosce fatich uznałam, że lepiej nie ukrywać swojej tożsamości. Zwłaszcza że chciałam zyskać przychylność i tego ludu. Poza tym coraz bardziej czułam, że nic mi nie grozi ze strony odrzuconych.

– Dawara. – Wskazała na siebie.

– Miło cię poznać – powiedziałam tylko i zamilkłam. Zaczęłam stukać w glinianą ściankę kubka, próbując zebrać myśli. – Mówiłaś, że jak nazywa się wasza osada?

– Broszen, na północ od Domaney. I obecnie jedna z wiosek najbliżej rzeki.

Kojarzyłam głównie drugą nazwę. Domaney, Dom Nadziei. Pierwsze miasto odrzuconych założone w Dżungli Syriasti. Podobno mieściło się nad małym jeziorkiem. Nic ponadto o nim nie wiedziałam. A Broszen było mi całkiem obce.

– Dziękuję za ocalenie – odezwałam się znów, gdy cisza się przedłużała.

– To nasza powinność. Ratujemy tych, którzy tego potrzebują. Choć przeważnie są wypędzonymi attikami. A skąd ty jesteś? Nie wyglądasz na mieszkankę Palietanu.

– Moja wioska leży bardziej na zachód, w Rozuarze. – Wolałam nie wymieniać nazwy wsi, by przypadkiem nie dotarła do uszu popleczników Onyksa.

Pokiwała głową, jakby słyszała o tym kraju, ale jednocześnie nie miała wyrobionego zdania na jego temat.

– Co wydarzyło się w Palietanie? – spytałam, gdy cisza się przedłużała.

– A jak wiele pamiętasz?

Opowiedziałam jej o tym, jak natknęłam się na elfa górskiego myśliwego. Najpierw nastraszył mnie swoimi iluzjami – a przynajmniej tak mi się wydawało – a potem skaleczył ostrzem pokrytym trucizną. Wtedy zjawili się odrzuceni i mnie ocalili.

– Salnud i jeszcze kilku z nas byli akurat na obchodzie – powiedziała Dawara, gdy skończyłam mówić. – Wczoraj odbywał się sąd w Palietanie. Nasi poszukiwacze udali się w drogę nieco wcześniej, by na pewno się nie spóźnić. Nie spodziewali się, że wpierw będą musieli się zająć

inną potrzebującą. – Wzięła ode mnie kubek i napełniła go wodą ze stojącego obok dzbana.

Podziękowałam jej skinieniem głowy i znów powoli zaczęłam pić, rozważając usłyszane słowa. W mojej głowie zrodziło się kolejne pytanie.

– Jak długo tu jestem?

– Dobre dwa dni. Już zaczynaliśmy się obawiać, czy nasze zioła wystarczą w walce z trucizną z gór. – Jej wzrok przesunął się na obandażowane ramię.

Mimowolnie dotknęłam opatrunku. Ręka lekko zapiekła, ale poza tym nie czułam najmniejszego bólu. A wtedy do mnie dotarło. Dwa dni… Nic dziwnego, że czułam głód i pragnienie. Zaraz zdałam sobie sprawę, że przez cały ten czas odrzuceni się mną zajmowali, pielęgnowali ranę, czuwali przy mnie i czekali, aż się przebudzę.

– Dziękuję – powtórzyłam już trzeci raz.

– Podziękowania należą się głównie Salnudowi i Spanalowi. Dzięki nim jesteś jeszcze wśród żywych. I w pewnym stopniu też dzięki Naleszubowi.

– Spanal i Naleszub to wasi uzdrowiciele?

– Można tak powiedzieć. – Uśmiechnęła się dosyć tajemniczo, ale nie zagłębiałam się w temat. Przynajmniej na razie. – Jak się czujesz?

– Nieco skołowana, osłabiona. I głodna.

Uderzyła się otwartą dłonią w czoło.

– Jak mogłam zapomnieć.

I zaraz wstała z łóżka. Choć nie, zeskoczyła z niego, a jej głowa znalazła się jakieś dwie stopy niżej. Z zaskoczenia w pierwszej chwili skamieniałam, nie rozumiejąc, co się dzieje. Dopiero po chwili zorientowałam się, że kobieta

nie ma nóg od kolan w dół. To mi przypomniało, gdzie się znalazłam. W wiosce, w której na każdym kroku mogę spotkać kogoś z ułomnościami.

Dawara w tym czasie sprawnie przesunęła się z pomocą rąk po podłodze w kierunku niskiego wózka z czterema kołami i wyjechała z pokoju. Zanim zdołałam przetrawić do końca tę sytuację, wróciła, trzymając na kolanach talerz z jedzeniem. Podjechała do łóżka i podała mi naczynie.

– Smacznego.

Zapiekana, zimna już ryba leżała na sałatce z zielonych liści i czerwonych placków. Obok znajdowało się coś, co przypominało grubą marchew, ale smakowało jak słodki ziemniak. Do tego biały sos z natką. Żołądek od razu przypomniał mi o swoim istnieniu. Nie zwlekając, zabrałam się do jedzenia.

Dawara obserwowała mnie przez chwilę, a potem przysunęła sobie krzesło bliżej łóżka i sprawnie się na nie wdrapała.

– Obiło nam się o uszy, że po Kontynencie wędruje ktoś, kto szuka legendarnych ludów. Takich jak my.

Pokiwałam głową, żując lekko słonawy placek.

– Po co?

Przełknęłam kęs.

– Potrzebujemy pomocy w walce. – W skrócie opowiedziałam jej o sytuacji w Rozuarze i Zalianii, o Onyksie i Szaferim.

– To wasza wojna – zauważyła, gdy skończyłam. – Dlaczego mielibyśmy się w ogóle ujawniać? – Wyglądała na nieco zaniepokojoną.

Po spotkaniu z fatimi wcale się jej nie dziwiłam. Odrzuceni mieli tutaj bezpieczny azyl. Nikt się im nie

naprzykrzał, mogli spokojnie żyć i dbać o tych, których sprowadzali do dżungli. Nie wątpiłam jednak, że Krwawy spróbuje do nich dotrzeć i albo przeciągnie ich na swoją stronę, albo po prostu podbije te tereny, a ludy zniewoli. Syriasti dawała pewną ochronę, ale mogła okazać się niewystarczająca.

– Bo któregoś dnia Onyks może przybyć i tutaj.

– Nie zdoła. – Prychnęła Dawara. – Od wieków dżungla chroni nas przed każdym wrogiem. Prawie nikt, poza nami i kasalimi, nie jest w stanie wejść na jej ziemie i pozostać przy życiu. Jeśli żołnierze się zjawią, przyroda sama się nimi zajmie.

Przypomniałam sobie o Sistalu, który w pojedynkę chronił fatich. Ci z kolei czuli się tak bezpieczni na swoich ziemiach, że też przez myśl im nie przeszło, by ktoś mógł ich podbić. A przecież co jakiś czas zjawiali się myśliwi, zabijali znikaczy i zabierali ich futra. Ale tutaj było inaczej. Próbowałam wydobyć z pamięci wszelkie informacje dotyczące Syriasti. Wiedziałam, że zdecydowanie się różni od zwyczajnego lasu. Na tych terenach trzeba było uważać na każdym kroku, jeśli nie chciało się zginąć. Nawet pozornie nieszkodliwy owad czy kwiat mogły się okazać śmiertelną trucizną. Miałam jednak wrażenie, że to nie powstrzyma Onyksa. Nie omieszkałam napomknąć o tym głośno.

Dawara uśmiechnęła się do mnie jak matka do dziecka, które tak niewiele jeszcze rozumie.

– Onyks nie odważy się wejść do dżungli. Nawet górskie trzymają się z dala. Nie miały tu miejsca żadne walki z ludami z zewnątrz. Syriasti to najbezpieczniejsze

miejsce na Kontynencie. Ale wystarczy tych rozmów. Powinnaś wypoczywać. Trucizna mocno cię osłabiła. Spanal pewnie się wścieknie, że tak cię męczę. Leż, nabieraj sił, a ja powiadomię go o twoim stanie.

Choć chętnie bym ją zatrzymała, zgodziłam się z tą radą. Rzeczywiście wciąż odczuwałam pewne osłabienie, dlatego oddałam jej talerz i położyłam się z powrotem na cienkim, ale dosyć miękkim sienniku.

– Niedługo wrócę – obiecała i wyszła.

Poleżałam chwilę, czekając, aż część sił do mnie wróci, po czym na nowo usiadłam. Poczułam lekkie zawroty głowy. Musiałam mocno podeprzeć się rękami, by nie paść z powrotem na łóżko. Gdy chwila słabości minęła, spróbowałam wstać. Znów potrzebowałam momentu odpoczynku. Wzięłam kilka głębszych oddechów. Mój uzdrowicielski zmysł kazał mi wracać do łóżka i stosować się do zaleceń kobiety. Jednak posłańcza część była w tej chwili silniejsza. Rozmowa z kobietą przypomniała mi o pewnej ważnej kwestii. O zadaniu, którego się podjęłam i zamierzałam się z niego wywiązać najlepiej, jak umiałam. Ledwo jednak mi to przyszło do głowy, a inna myśl wypłynęła na wierzch. Losinis i Rameti. Poczułam ucisk w gardle. Chciałam wierzyć, że obaj są bezpieczni. Że mraw odleciał tam, gdzie wszyscy jego pobratymcy w czasie buntu, a elf znalazł się pod opieką górskich uzdrowicieli i niedługo wróci do pełni zdrowia. Ale obawiałam się, że – tak jak często podczas naszej podróży – nie wszystko poszło tak gładko. Na razie nie byłam w stanie nic dla nich uczynić. Musiałam wierzyć, że sobie poradzą i za parę tygodni znów się spotkamy.

– Skup się na zadaniu – wyszeptałam do siebie z nadzieją, że pomoże mi to w niemartwieniu się o nich.

Przede wszystkim powinnam była sprawdzić, czy w drodze do Syriasti nie zgubiłam listu od Szaferiego. Zakładałam, że ci, którzy mnie uratowali, zabrali też moje rzeczy i że gdzieś powinny tu być. Zatrzymałam wzrok na skrzyni.

Zignorowałam osłabienie i usiadłam przed nią. Szerokością dorównywała łóżku, ale była od niego nieco wyższa. Skonstruowana z nieheblowanych desek zbitych gwoździami. Wyglądała dosyć prowizorycznie. Poruszyłam nią lekko. Zachybotała się, ale nie rozpadła. Próbowałam podnieść wieko, ale aż sapnęłam z wysiłku, a ranne ramię jakby stanęło w ogniu. Zacisnęłam zęby, by nie krzyknąć z bólu i opadłam na podłogę. Miałam wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim palenie ustało. Pozostało po nim jedynie wyczuwalne pulsowanie, jakby ostrzeżenie, że zaraz znów może zaboleć. I to znacznie mocniej.

Wzięłam głębszy oddech i podjęłam drugą próbę. Tym razem jedynie zdrową ręką. Musiałam się mocno wysilić. Gdy już chciałam zrezygnować, wieko w końcu uderzyło o ramę łóżka.

Z przestrachem zerknęłam za siebie. Na szczęście nie zjawił się nikt przywołany nagłym hałasem. Mogłam więc przejść do swojego zadania. Zaczęłam przeglądać zawartość. W środku było wszystko, co wcześniej miałam przy sobie. W tym też koc mamy, miecz, nóż i moja torba. Sięgnęłam po nią i przetrząsnęłam. Niczego nie brakowało. Nawet listu. Pieczęć trochę się skruszyła, ale wciąż trzymała wiadomość zamkniętą. Z westchnieniem ulgi przycisnęłam ją do piersi. Teraz musiałam jedynie się dowiedzieć, komu powinnam ją przekazać.

Rozdział II

Prędko wracasz do zdrowia.

Aż podskoczyłam z listem w ręce. Choć w Broszen nic mi nie zagrażało i tak nie powinnam dać się tak łatwo podejść. Za bardzo skupiłam się na szukaniu wiadomości od Księcia.

Odwróciłam się do przybyłych. Obok Dawary stał mężczyzna, który musiał być Spanalem. Był tak wysoki, że głową prawie dotykał górnej części framugi. Smagłą, pociągłą twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Długie, czarne włosy były spięte w luźny ogon, co kojarzyło mi się ze znajomym elfem – choć Rameti przeważnie wiązał je na wysokości karku. Uzdrowiciel miał mniej barwne ubranie od kobiety. Jego szara, tkana koszula spływała na podobnie szare, kończące się tuż nad kolanem spodnie. Bose, przyprószone kurzem i zabrudzone ziemią stopy zatrzymały się parę kroków ode mnie.

– Jestem Spanal. – Wyciągnął do mnie rękę.

– A ja Ariadna. – Podałam mu zdrową dłoń.

Zamiast ją uścisnąć, pociągnął mnie w górę. Lekko się zatoczyłam, więc mnie podtrzymał.

– Dobrze cię w końcu poznać. Już się zastanawialiśmy, czy w ogóle się ockniesz.

– Wiem, słyszałam. – Zerknęłam przelotnie na Dawarę.

– A o tym, że powinnaś leżeć i wracać do sił też słyszałaś?

Przygryzłam wargę i milczałam.

– Trucizna naprawdę dała ci się mocno we znaki – kontynuował, prowadząc mnie ku łóżku. – Może czujesz się silniejsza, ale na twoim miejscu bym się nie forsował.

Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Zapytałby pewnie, dlaczego w takim razie postąpiłam inaczej.

– Musiałam coś sprawdzić – przyznałam, siadając ciężko.

Jego wzrok padł na otwartą skrzynię.

– Nie jesteśmy złodziejami – rzekł i spoważniał.

Zawahałam się, co odpowiedzieć. Czy odrzuceni byli aż tak przewrażliwieni, że trzeba było uważać na dosłownie każde słowo? Czy mogłam w jakiś sposób uratować tę sytuację?

Cisza się przeciągała, co napawało mnie coraz większym zwątpieniem i lękiem. Wtedy jednak Spanal parsknął śmiechem, a Dawara szturchnęła go w łydkę. Pokręciła głową, wywracając oczami.

– Żartowniś się znalazł – mruknęła. – Mógłbyś nie straszyć naszego gościa.

Chwilę zajęło mi zrozumienie, że naprawdę mogę odetchnąć z ulgą i że nic złego się nie dzieje.

– Trochę śmiechu zawsze się przyda – oznajmił, ale najwyraźniej nie zamierzał przepraszać. – Jeśli czegoś

brakuje, musiało zostać w Palietanie niezauważone przez naszych poszukiwaczy.

– Jest wszystko, dziękuję. – Wciąż nie wypuszczałam z dłoni wiadomości Szaferiego. – Szukałam listu, który Książę powierzył mojej pieczy.

– Jaki książę? – Spojrzał na Dawarę, a potem znów na mnie.

Pokrótce opowiedziałam mu to samo, co kobiecie. Gdy skończyłam, bezwiednie obracałam w palcach pogniecioną już kartkę.

Spanal trawił dłuższą chwilę moje słowa.

– Czyli to, co słyszeliśmy, to wszystko prawda. Naprawdę na zachodzie nie dzieje się najlepiej. A nas ktoś szukał. – Skrzyżował ręce na piersi i postukał palcami w ramię. – Zakładam, że chcesz się widzieć ze starszyzną wioski?

Skinęłam głową.

– Bo macie starszyznę? – upewniłam się.

Zarówno Neres, jak i Rameti wspominali mi o starszyznach panujących w Lesie Palietan. W obu przypadkach do tej służby wyznaczano pięciu mężczyzn. U curysów wyłaniano ich poprzez powszechne głosowanie. Każdy dorosły miał prawo wskazać tego, kto jego zdaniem najlepiej nadawał się do zadania. U attików to starsi sami dobierali sobie towarzyszy. Pamiętałam opowieści o tym, że dawniej u nich władzę sprawowała jedna piątka, która wędrowała od wioski do wioski. Obecnie jednak osady się rozrosły i każda potrzebowała własnej starszyzny. Curysi pozostali jednak przy jednej starszyźnie, która panowała nad wszystkimi osadami. W każdej z nich mieli też kogoś w rodzaju nadzorców. Przeważnie tę rolę pełnili kapłani,

którzy mieli się opiekować wszystkimi mieszkańcami i podejmować mniej ważne decyzje.

– Nigdy nie byliśmy przekonani do przekazania władzy jednemu człowiekowi – przyznał Spanal i przeszedł przez pokój, by zająć krzesło.

Idąc za jego przykładem, usiadłam na łóżku, a Dawara obok mnie. Chciałam jej pomóc, ale podziękowała i sama wdrapała się na siennik.

– Zostaliśmy przy starszyźnie – kontynuował. – Każdą wioską opiekuje się piątka wybrańców z ludu. Nasze osady żyją w pewnym stopniu niezależnie od siebie. Podobnie jak u attików i kasalich. Handlujemy ze sobą, odwiedzamy krewnych czy przyjaciół. Ale poza tym istniejemy niemalże jako oddzielne kraje.

Pod tym względem przypominali mi fatich. Jednak tam w każdej wiosce rządził jeden człowiek, który po części był zależny od władcy.

– Dzięki temu łatwiej zachować nasze istnienie w tajemnicy – dodała Dawara. – Nie mamy utartych szlaków. A przynajmniej nie takie widoczne dla ludzi spoza dżungli.

– Właśnie – potwierdził. – Ale odeszliśmy od tematu. – Wskazał na list. – Rozumiem, że ta treść jest przeznaczona dla naszego ludu?

– Tak. Książę spisał tylko dwie wiadomości. Jedną już przekazałam.

– Fatim, prawda? – odgadła kobieta. – Drugi legendarny lud.

Przytaknęłam.

Nie widziałam powodu, by ukrywać tę wieść. Zwłaszcza że niedługo cały Kontynent miał odkryć ich istnienie.

Poza tym odnosiłam wrażenie, że odrzuceni – nawet jeśli nie zechcą wesprzeć nas w wojnie – nie zdradzą nikomu sekretu.

– Zgodzili się? – dopytał Spanal.

– Nie od razu, ale tak.

Przygryzłam wargę na to wspomnienie. Zarządca znikaczy i chroniący ich elf zobaczyli mnie z fatickim runem – podarkiem od żołnierza Księcia. Miało mi rzekomo pomóc wkraść się w łaski legendarnego ludu. Ale omal nie zaprzepaściło wszelkich szans na sojusz. Fati od wieków musieli radzić sobie z myśliwymi pragnącymi ich futer. Dla znikaczy były przekleństwem niedającym ochrony przed chłodem, ale dla innych mogły się stać lekkim i ciepłym kocem. Dlatego kawałek runa tak nimi wstrząsnął. Na szczęście potem pomogłam im poradzić sobie z myśliwymi, czym zyskałam sobie ich sympatię i zdobyłam sojuszników dla Księcia.

Spanal pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Jeszcze dziś zaprowadzę cię do naszej starszyzny. Przedstawisz im całą sprawę.

Z radości aż się szeroko uśmiechnęłam. Choć wcześniejsza rozmowa z Dawarą nie napawała mnie entuzjazmem, teraz odzyskiwałam nadzieję. Jeśli spotkanie z władającymi było tak prostym krokiem, kolejne zaczęły mi się jawić niczym przejście przez płytki strumyk. Zaraz jednak przypomniałam sobie o jeszcze jednym problemie.

– Nie mogę zostać tutaj na długo. Zanim do was trafiłam, zmierzałam do curyjskiej wioski. Miałam tam czekać na przyjaciela. W każdej chwili może się u nich zjawić.

Rameti sam zaproponował takie rozwiązanie. Przypomniałam sobie jego słowa:

„Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli pójdziesz potem w dół strumienia i dotrzesz do którejś z curyjskich wiosek. Zaczekaj tam na mnie dwa tygodnie. Jeśli się nie zjawię, wyślij wiadomość do El'darum. Nie waż się nigdzie ruszać i na własną rękę szukać odrzuconych. Sorates i Szaferi zadecydują, co dalej z twoją misją".

Nie chciałam nawet brać pod uwagę, że Rameti nie przybędzie. Musiał wyzdrowieć. Po prostu musiał – trzymałam się tej myśli kurczowo jak tonący liny. Nie wiedziałam jedynie, co wnuk Soratesa uczyni, jeśli nie zastanie mnie w wiosce curysów.

Uzdrowiciel pokręcił głową.

– Nie, nie w twoim stanie. Nie dojdziesz nawet do rzeki.

Już otwierałam usta, by wytoczyć argumenty, gdy dodał:

– Ale możemy przesłać wiadomość do curysów. Gdy twój przyjaciel się tam zjawi, przekażą mu, gdzie jesteś i że nic ci nie grozi.

Takie rozwiązanie mi odpowiadało.

– Curysi wiedzą o waszym istnieniu?

Odrzuceni wymienili spojrzenia.

– Czemu mieliby nie wiedzieć? – spytał Spanal. – Oni i kasali są świadomi, że tutaj żyjemy. Zresztą attikowie i elfy górskie podobnie. Jedynie w pozostałych częściach Kontynentu traktuje się nas jak postacie z legend. Trudno wam uwierzyć w istnienie takiego ludu jak my.

Sama przecież tak ich traktowałam, zanim się tu zjawiłam. Choć jednocześnie starałam się wierzyć, że naprawdę istnieją i zwiększą nasze szanse w walce z Onyksem.

– A kiedy będę mogła wyruszyć w drogę?

– Najszybciej? – Zamyślił się. – Wśród twoich rzeczy znaleźliśmy miecz. Umiesz się nim dobrze posługiwać?

– Tak, ale o wiele lepiej radzę sobie z łukiem. – Próbowałam dociec, dlaczego pyta o moje umiejętności. Pewna myśl już kiełkowała mi w głowie.

– A potrafisz trafić do celu oddalonego o trzydzieści kroków?

– Tak, na treningach często tarcza była nawet dalej.

– Świetnie. Jeśli uda ci się ustrzelić liść z drzewa z takiej odległości, możesz pakować rzeczy i ruszać w drogę.

Jedynie skinęłam głową. Zdawałam sobie sprawę, że rana nieco mnie osłabia i samo otwarcie skrzyni stało się dla mnie pewnym wyzwaniem. I choć w czasie podróży nie miałam okazji do ćwiczenia łucznictwa, w Klodri i El'darum naprawdę świetnie sobie radziłam. Starałam się jednak nie łudzić. Za pierwszym razem z pewnością nie ustrzelę liścia. Ale już po paru dniach…

Dawara wodziła wzrokiem między nami bez słowa. W jej spojrzeniu dostrzegłam pewne niewypowiedziane słowa. Wątpiła, czy będę w stanie szybko spełnić warunek. I ja w sumie też.

– Jutro pokażę ci, gdzie możesz ćwiczyć – rzekł jeszcze Spanal. – A teraz powinnaś przygotować się do spotkania ze starszymi. Dawara pokaże ci, gdzie możesz się umyć, a ja przekażę twoją prośbę o rozmowę. Odśwież się, przebierz, potem po ciebie przyjdę. – Po tych słowach wyszedł.

Kobieta zaraz przejechała wózkiem do sąsiedniego pokoju. Poszłam za nią. Pomieszczenie było niewielkie. Pod jedną ścianą czekała drewniana misa z wodą do obmycia i mały kosz z liśćmi. Dawara wyjaśniła mi, że służą do

pielęgnacji ciała. Obok stała ławeczka, a na niej lniany ręcznik i komplet ubrań. Podłogę wyłożono szorstkimi kamieniami, które miały nie zatrzymywać wilgoci. Do ścian przytwierdzono dwa uchwyty na lampiony – w tej chwili zgaszone. Jedyny otwór był zakryty przez grube, zielone zasłony. A w powietrzu unosił się delikatny zapach ziół.

Gdy zostałam sama, nie marnowałam czasu. Starałam się dokładnie zmyć z siebie cały brud i kurz z podróży, ale myślami błądziłam wokół czekającej mnie rozmowy. Miałam nadzieję, że pójdzie lepiej niż u fatich i nie będę musiała znów naprawiać przypadkowego błędu. Odetchnęłam uspokajająco i wytarłam się prędko szorstką tkaniną, a potem przebrałam w nowe ubranie.

Tkana, błękitna koszula podobna do tej, którą miał Dawara, bardziej przypominała tunikę. Była trochę za luźna i zbyt długa. Na brzegach krawiec ozdobił ją zmyślną, białą koronką. Na szczęście wśród rzeczy była też szarfa, którą przewiązałam się w pasie. Ubranie od razu stało się bardziej dopasowane. Potem założyłam beżowe spodnie sięgające kolan, a za radą Dawary zrezygnowałam z butów – i tak nikt w dżungli w nich nie chodził. Na koniec zajęłam się włosami. Rozczesałam kołtuny i zaplotłam luźny warkocz. Byłam gotowa, by spotkać się ze starszyzną.

– Wyglądasz teraz o wiele lepiej – oceniła Dawara, gdy wyszłam.

– Dziękuję – powiedziałam i uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

Niedługo potem wrócił Spanal. Zwięźle pochwalił mój strój i zabrał na spotkanie.

Zaraz po wyjściu z chaty poczułam, że powietrze stało się wilgotniejsze i gęstsze – miałam wrażenie, jakbym oddychała przez gruby koc. Z trudem brałam nawet płytkie wdechy, ale Spanal uspokoił mnie, że za parę godzin, co najwyżej dni, przyzwyczaję się do warunków panujących w Syriasti.

– Zimy temu przeżywałem prawie to samo – dodał jeszcze. – Mówi się wśród nas, że jedynie dzieci tak bardzo nie odczuwają tej zmiany, bo dżungla traktuje je łagodniej.

Odwróciłam na moment głowę, by zerknąć jeszcze na chatę w całej okazałości. W miejscu drzwi wisiała gęsta sznurkowa zasłona. Okna zakrywała cienka plecionka, która chroniła przed owadami, ale przy tym nie blokowała dostępu do powietrza. A drewniane okiennice były na razie szeroko otwarte. Ściany od zewnątrz – podobnie jak od środka – pokrywała nieregularna warstwa materiału podobnego do zaschniętego błota z kępami trawy. Zapytałam Spalana, co w tej konstrukcji sprawia, że powietrze w środku jest znośniejsze.

– Wszystko – odparł. – Maty w oknach zatrzymują wilgoć. Na noc zastępujemy je okiennicami, które pełnią tą samą funkcję. Podobnie jak dach, ściany i zasłona w drzwiach, którą nasączany pewnym wyciągiem z roślin. Każda z tych rzeczy ma znaczenie. Nawet to, że budujemy chaty na niskich palach. Dzięki temu nawet wilgoć z ziemi nie dostaje się do środka.

Szliśmy pod wysokimi drzewami – ich korony zdawały się sięgać tak wysoko jak w El'darum. A były na tyle grube, że potrzeba by było kilku mężczyzn, by je objąć. Rozległe, masywne konary pewnie mogłyby utrzymać tych samych

ludzi bez problemu. Albo i całe domy. Słyszałam, że dawniej kasali mieszkali w domostwach umiejscowionych na drzewach. Nikt spoza dżungli nie wiedział, jak jest obecnie, bo ten lud niechętnie przyjmował obcych na swoich ziemiach. A odkąd udzielili schronienia pierwszym odrzuconym, tym gorliwiej dbali, by nikt niepowołany nie znalazł się w Syriasti.

Nie dostrzegłam żadnej regularności w położeniu chat. Wyglądało to tak, jakby każdy wybudował się tam, gdzie akurat znalazł trochę przestrzeni – co nie było proste, bo drzewa rosły miejscami o wiele gęściej niż w znanych mi lasach. Jednocześnie odnosiłam wrażenie, że panuje tu swoisty porządek, którego na razie nie umiałam zrozumieć.

Spanal prowadził mnie wydeptaną ścieżką chyba w głąb wioski. Tutaj domostwa stały bliżej siebie, jakby odrzuceni czerpali z tego pewną otuchę. Ale nie dostrzegłam zbyt wielu mieszkańców – uzdrowiciel wyjaśnił mi, że o tej porze większość pracuje na platformach uprawnych, łowi ryby, poluje lub zbiera owoce. Minęliśmy zaledwie parę osób, które zajmowały się pracami w obejściu. Zerkały na nas z zainteresowaniem, uśmiechały się pogodnie, by zaraz wrócić do zajęć. Gdybym nie wiedziała, że znalazłam się w wiosce odrzuconych, stwierdziłabym, że to jedna z najzwyklejszych osad.

Wtedy zauważyłam gromadkę dzieci przyglądającą się nam z zaciekawieniem. Coś szeptały między sobą i pokazywały na mnie palcami.

– Rzadko zjawia się u nas ktoś spoza Palietanu – wyjaśnił Spanal. – Albo raczej: nigdy to się jeszcze nie zdarzyło.

Spostrzegłam, że jeden z chłopców podpiera się na grubej gałęzi, która zastępowała mu brakującą połowę nogi. Inny miał opaskę na oku. A jedna z dziewczynek, gdy poprawiła włosy, ujawniła brak lewego ucha. Zaczęłam uważniej się przyglądać garstce mieszkańców. Minęliśmy chatę, którą wznosiło kilku mężczyzn. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że niektórzy nie mają dłoni lub nawet ręki aż do łokcia. Nieco dalej dziewczynka o zdeformowanej twarzy przeganiała szarobure dzikie świnie, a inna o powykrzywianych palcach zajmowała się młodszymi dziećmi pod nieobecność ich matek.

– Nie tego się spodziewałaś? – spytał rozbawiony Spanal, pozdrawiając sąsiadów.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że rozdziawiam usta ze zdziwienia. Niby byłam przygotowana na to, co czeka mnie w Dżungli Syriasti. Niewiele razy jednak natknęłam się na osoby, które nie były w pełni sprawne. Loenda jako pierwsza pokazała mi, że brak nóg nie oznacza całkowitego uzależnienia od innych. Ale dopiero tutaj mogłam się przekonać, że odrzuceni naprawdę doskonale sobie radzą. A braki w ciele prawie wcale ich nie ograniczają.

Zamknęłam usta i przeniosłam wzrok na swojego przewodnika. Obejrzałam go od stóp do głów, ale nie dostrzegłam w nim żadnej ułomności.

– Czy są wśród was w pełni zdrowi? – odważyłam się wypowiedzieć pytanie.

– Zastanawiasz się, czy ja jestem zdrowy?

– Też.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Tak, jestem jednym z niewielu, którzy nie zostali wypędzeni, ale opuścili attycką wioskę. I pewnie chcesz wiedzieć dlaczego.

Tylko skinęłam głową, a Spanal podjął marsz.

– Kiedy mieszkałem w Palietanie, uczyłem się na medyka pod okiem jedynego człowieka, który u nas zajmował się rannymi i chorymi. To znaczy tymi, którzy byli jeszcze użyteczni dla osady. Pewnie wiesz, że starsi wcześniej czy później wypędzają każdego, kto nie umie o siebie zadbać.

– Słyszałam o tym.

Westchnął, kręcąc głową.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego jeszcze nikt nie zmienił tego prawa. Ale mniejsza z tym. – Machnął ręką. – Szkoliłem się, by niedługo zastąpić starego medyka. I wtedy doszło do wypadku. Podczas zbierania grzybów w lesie na Dawarę runęło drzewo, miażdżąc jej nogi. W pierwszej chwili myślałem, że już… – Urwał. – Ale tylko zemdlała, a ciężar pnia na szczęście zatamował krwawienie. Dalej wszystko działo się tak szybko… Nawet nie myślałem, po prostu działałem. Wpierw oderwałem z własnej koszuli pasy materiału i mocno przewiązałem jej uda. Potem sięgnąłem po grubą, mocną gałąź i z jej pomocą zepchnąłem konar z Dawary. Ale nie wiem, skąd znalazłem w sobie siłę, by zabrać siostrę niepostrzeżenie do wioski. Gdy położyłem ją na łóżku, była na granicy życia i śmierci. Cudem zdołałem ją ocalić. Cały wypadek i jego skutki udało mi się zachować w sekrecie, aż poczuła się nieco lepiej. Niedługo później zjawił się u nas ten medyk, którego imienia nie zamierzam nigdy więcej wspominać. Zauważył ranną Dawarę i doniósł starszym.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – Nie powinien ci pomóc?

Spanal uśmiechnął się smutno.

– Mówiłem ci, że atticki medyk pomaga jedynie tym, którzy są w stanie wyzdrowieć. Mojej siostrze nogi nie mogły odrosnąć, więc według prawa lepiej było ją wygnać i skazać na śmierć w lesie. Jeszcze tej samej nocy po prostu uciekliśmy. Zabraliśmy tylko maści dla Dawary, starą, łataną manierkę z wodą i trochę suchego prowiantu, a poza tym tylko to, co mieliśmy na grzbietach. I poszliśmy w las. Tylko Custosowi zawdzięczamy, że nie napadły na nas żadne drapieżniki i zdołaliśmy dotrzeć jakoś do dżungli. Słyszałem o niebezpieczeństwach Syriasti, więc nie wchodziliśmy w głąb, ale rozłożyliśmy się obozem nad brzegiem granicznej rzeki. I czekaliśmy. Przez dwa kolejne dni nikt się nie zjawił. Ani odrzuceni, ani kasali. Dopiero trzeciego popołudnia przyszła grupa poszukiwaczy i zabrała nas do Broszen. Od tej pory tu mieszkamy. Tu, gdzie niczego nie musimy się lękać. Przyznam, że nie odczuwam żalu na myśl o naszym starym domu. I tak z naszej rodziny nikt poza nami nie pozostał żywy. Gdyby Dawara zginęła tamtego dnia, zostałbym całkiem sam.

– A tu pewnie masz przyjaciół.

– I niejednego pacjenta, który docenia moje starania – dodał.

W milczeniu pokonaliśmy dalszą drogę. Trawiłam usłyszane słowa i trochę się dziwiłam, że mężczyzna tak chętnie opowiedział mi swoją trudną historię.

– Te wydarzenia nie są dla mnie aż tak przykre. Dzięki nim w końcu uwolniliśmy się od prawa, które wiązało nas

jak niewolników – rzekł, jakby słyszał moje myśli. – A ty chciałaś znać odpowiedź.

– Dziękuję, że mi to opowiedziałeś.

– Nie masz za co. Podczas pobytu u nas przekonasz się, że równie chętnie słuchamy opowieści, jak i sami je snujemy.

– Ale ja tutaj nie zostanę tak długo – zauważyłam.

Spojrzał na mnie przelotnie.

– Przez pewien czas zostajesz. Przynajmniej aż odzyskasz siły. Nie biorę odpowiedzialności za twój stan, jeśli opuścisz Broszen bez mojej zgody – zastrzegł i dodał: – Jesteśmy na miejscu.

Stanęliśmy przed niczym niewyróżniającą się chatą. Może jedynie była nieco większa od innych, które do tej pory mijaliśmy. Poczułam się niemal jak w Dolinie Miecza, gdy miałam znaleźć chatę wójta. Tak jak i wtedy, tak teraz sama nie poradziłabym sobie z takim wyzwaniem.

– Chcesz o coś jeszcze spytać, zanim wejdziemy?

– Wszyscy u was znają plenkuski? – Przypomniałam sobie o wizycie u fatich i konieczności korzystania z pomocy Sistala jako tłumacza.

– Większość zna pojedyncze słowa lub proste zdania. Ale jedynie nieliczni umieją porozumiewać się w tym języku. Poza starszyzną, mną i Dawarą zaledwie parę osób. Szczególnie ci, którzy opuszczają wioskę i udają się do Palietanu – nigdy nie wiadomo, na kogo się natkną, a znajomość wspólnej mowy jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Musisz też wiedzieć, że nawet wśród attików nie zawsze trafisz na kogoś, kto zna plenkuski. Choć znacznie częściej niż tutaj.

Ucieszyłam się w duchu, że nie będę miała problemu z dogadaniem się ze starszyzną.

– A co powinnam wiedzieć o waszych zwyczajach?

Już się przyzwyczaiłam, że każdy lud ma swoje tradycje i kulturę. Skoro chciałam pozyskać przychylność odrzuconych, nie powinnam ich obrazić przy pierwszym spotkaniu.

– Nic koniecznego podczas rozmowy – zapewnił. – Poza tym wiedzą, że nie jesteś stąd. Nie urazisz ich niczym, co zrobisz lub powiesz. Wchodź pierwsza – ponaglił mnie.

Skinęłam głową, odsunęłam sznurkową zasłonę i przeszłam przez próg.



Jeśli chcesz przeżyć więcej przygód i jeszcze lepiej poznać Kontynent, to zapraszam Cię do zapisania się na Listy od Kronikarza poniżej.



A jeśli spodobała Ci się opowieść, to mam drobną prośbę o krótką recenzję w jednym z serwisów książkowych (np. Lubimy Czytać) lub na Twoim IG (jeśli mnie oznaczysz, @aleksandrarkstupera, z pewnością do Ciebie wpadnę). Dziękuję ♥